

Aneks

Artykuły Głosu Ludu

Głos rychwałdzkich PZKO-wców¹

Halina Gawlas

Proces demokratyzacji życia społecznego w Czechosłowacji, a zatem i życia nas, Polaków na Zaolziu, stopniowo zaczyna się urzeczywistniać. Jego przejawem są na przykład otwarte, choć zróżnicowane wypowiedzi czytelników i korespondentów na łamach naszej prasy. Wiele z nich zawiera gorzkie wspomnienia krzywd doznanych przed 20 laty, są i krytyczne wypowiedzi dotyczące dotychczasowej działalności naszego PZKO. Zdania nas, Polaków w tej sprawie są jednak bardzo podzielone. Ponieważ demokracja miałaby umożliwiać ludziom wypowiadanie różnych poglądów, chciałabym i ja podzielić się z czytelnikami „Głosu Ludu” swoim zdaniem w tej sprawie. My, Polacy na Zaolziu, żyjemy w republice czechosłowackiej i nie powinniśmy być obojętni na to, co się w tym państwie dzieje. Czy zawsze jednak musimy włączać się do zachodzących zmian, szkodząc sobie i likwidując się nawzajem. Czy znowu mają powtórzyć się losy śp. Jasiczka, dra Siwka, Kubisza czy innych? Powinniśmy przede wszystkim pamiętać, że jesteśmy Polakami i jakiegokolwiek zmiany w ideologii dotyczące kół rządzących w naszym państwie nie powinny aż tak oddziaływać na nasze polskie społeczeństwo. Nasze szeregi maleją, stopniowo zamykane są polskie szkoły i zmniejsza się ilość młodzieży, która by kontynuowała nasze istnienie. Mówię tak na podstawie doświadczeń i spostrzeżeń małego, bo liczącego tylko 130 członków. Koła w Rychwałdzie, ale jakże aktywnego pomimo wysokiej przeciętnej wieku jego członków. Bowiem celem MK PZKO w Rychwałdzie była zawsze praca społeczna dla dobra polskiego społeczeństwa, bez względu na to, jakie zmiany zachodziły w naszym państwie. Tak również można scharakteryzować całokształt pracy całego PZKO od początków jego założenia. Piękne słowa o naszej działalności PZKO-wskiej wyczytałem niedawno w prasie polonijnej, gdzie pisano:

„Od Polaków na Zaolziu można się nauczyć autentycznej pracy społecznej. Bo też wszystko co polskie, od tej pracy zależy i na niej się opiera. Polacy na Zaolziu tak, jak

¹ GAWLAS, Halina: Głos rychwałdzkich PZKO-wców. In: *GL*, 1990, nr 3, s. 2.

uprawiają ziemię, jak pracują, tak z uporem i konsekwencją strzegą swoich polskich korzeni, obyczajów, mowy. Wiare w jej przetrwanie wyrażają w ludowej poezji i pieśni”.

Czytając te piękne słowa nie można zapomnieć o ludziach, którzy tej pracy społecznej dla dobra nas, Polaków na Zaolziu, poświęcili całe swoje życie. Pomyślmy jednak nie o tych, którzy już odeszli z naszych szeregów i dla których nasze uznanie już jest spóźnione, ale o tych, którzy do dziś stali na czele naszego Związku. Mam na myśli Władysława Orszulika, pełniącego funkcję sekretarza ZG PZKO. Na zebraniu zarządowym MK PZKO w Rychwałdzie zdecydowano, że moralnym obowiązkiem Koła jest zająć stanowisko w jego sprawie. Zналиśmy pana Władysława Orszulika, kiedy jeszcze nie był członkiem naszego Koła, jako wielkiego społecznika aktywnie uczestniczącego prawie we wszystkich formach życia kulturalnego na naszym terenie, ale przede wszystkim jako patriotę. Ta ocena potwierdziła się, kiedy włączył się do pracy naszego Koła PZKO w Rychwałdzie już jako jego członek. Brał udział prawie we wszystkich imprezach organizowanych przez Koło, bardzo często wykonując funkcje gospodarcze. Uczestniczył również w pracach przy remoncie Domu PZKO w Rychwałdzie. Pomimo wielkiego zaangażowania w pracę społeczną na całym terenie i nawiązywaniu kontaktów z teraźniejszą Polską potrafił gospodarować swym wolnym czasem tak, aby być aktywnym członkiem naszego Koła. Podziwialiśmy również jego wielki udział w organizowaniu prac remontowych w ośrodku ZG PZKO w Koszarzyskach, co naocznie stwierdziliśmy, kiedy nasze Koło zorganizowało tam brygadę.

Myślę, że celem życia pana Władysława była i jest praca społeczna dla dobra polskiego społeczeństwa bez względu na to, jaka była sytuacja społeczno-polityczna w naszym państwie. Że nie zawsze wszystko układało się ku zadowoleniu wszystkich, na to odpowiada przysłowie: „Jeszcze się nie narodził, co by każdemu dogodził”.

Dla PZKO-wców w Rychwałdzie pan Władysław Orszulik jest i będzie zawsze wielkim patriotą i organizatorem życia społecznego Polaków na Zaolziu a to dla naszego społeczeństwa jest najważniejsze.

Inż. Halina Gawlas

Z treścią tej wypowiedzi zgadzają się członkowie MK PZKO w Rychwałdzie, co potwierdzili swoimi podpisami na wieczorze świetlicowym dnia 10. 12. 1989.

42 podpisy

Co złego - to Polacy?...²

Erwin Jonszta

Dużo się u nas obecnie mówi i pisze o drodze Republiki Czeskiej do zachodniej Europy. Niestety zapomina się, że droga ta wymaga tolerancji i wyzbycia się dawnych tendencji szowinistycznych. Przykłady prawie codziennie możemy spotkać w regionalnych gazetach czeskich. Wprawdzie unika się bezpośrednich ataków na nas, Polaków, ale drogą okrężną sieje się do nas nienawiść. Przytoczę kilka przykładów.

O XVII Zjeździe PZKO ostrawski dziennik „Svoboda” (22 marca 1993) w artykule pt. „Peníze, peníze” porównał dawne rządowe dotacje dla PZKO za 25 lat z jedyną dotacją w roku 1922. Logicznie myślący człowiek uzna, że jest to absurd, gdyż liczby te są nieporównywalne. Zapomniano także napisać, że w tym samym czasie czeskie organizacje Frontu Narodowego otrzymywały wielokrotnie wyższe dotacje, ponadto korzystały bezpłatnie z zakładowych lub miejskich domów kultury. Demagogicznie także brzmią wyliczanki w innych czeskich gazetach, jak wiele to Polacy na Zaolziu mają zespołów, szkół, świetlic itp. O tym, że są to już szczątki tego, co posiadaliśmy przed II wojną światową i po niej, gazety milczą.

Dalszy przykład: „Karvinské noviny” z dnia 18 marca poinformowały swoich czytelników o narodowości pacjentów, którzy w 1992 roku spędzili noc w izbie wytrzeźwień. Napisały, że najwięcej było Polaków, bo aż 99, Węgrów 29,6 Niemców, 1 Turek, 2 Rumuni i 1 Belg. A ilu było Czechów, tego już nie piszą – a było ich 1501. Można do tego dojść, odejmując wyżej podane liczby od ogólnej liczby pacjentów przytoczonej na wstępie artykułu. W praktyce jednak niewielu czytelników trudni się przy czytaniu gazety rachunkami, więc pozostaje wrażenie, że to Polacy są największymi w powiecie karwińskim rozrabiakami – alkoholikami. Za przykładem powiatowej gazety poszedł dalszy tygodnik - „Hlasy Havířova”, pisząc 8 kwietnia, że dwaj obywatele narodowości polskiej, pracujący na Kop. „Dukla”, w stanie pijanym zdemolowali restauracyjny inwentarz hotelu „Merkur” oraz napadli na przybyłych członków straży miejskiej. Nie zamierzam bronić alkoholików, ale urabianie miejscowym Polakom opinii awanturników pijaków jest obraźliwe. Takie pisanie przypomina mi okres przed drugą wojną światową, kiedy to ostrawski dziennik „České slovo” przy każdej okazji nie omieszczał dodać, że to czy owo przestępstwo mają na sumieniu Polacy.

² JONSZTA, Erwin: Co złego – to Polacy?... In: *GL*, 1993, nr 43, s. 2.

Wracając jeszcze do tygodnika „Karvinské noviny”. Otóż miejsce przeznaczone na artykuły pisane w języku polskim ograniczono do jednej trzeciej, pono ze względów oszczędnościowych. Gazeta jednak wychodzi nadal w tej samej objętości. Co na to karwińscy Polacy?

*Mamy swój własny język...*³

Antoni Strzybny

Jakie to przykre, kiedy o tym zapominamy, czy zgoła się za swój język wstydzimy.

Stoję oto w kolejce w banku komercyjnym w Trzyńcu po odbiór emerytury z Polski. Przede mną dwie panie swobodnie rozmawiające, jeśli nie po polsku, to gwarą do polskiego języka literackiego bardzo zbliżoną. Prawdopodobnie Polki, bo inni raczej polskiej emerytury nie pobierają. Jakie niemiłe jest moje zaskoczenie, kiedy do urzędnika – najpierw jedna, potem druga – zwracają się po czesku. Wiem, że urzędnik ów rozmawia „po naszymu”, bo tak ze mną prowadzi rozmowę, może nawet jest Polakiem, bo nazwisko polskie...

Albo: Wielokrotnie byłem świadkiem tego, że znani mi ludzie, Polacy, do lekarzy w trzynieckim szpitalu zwracali się po czesku. Przy tym szpital ów nazywany jest w okolicy „polskim szpitalem”, bo co najmniej połowa jego personelu to Polacy.

I podobno domagamy się respektowania prawa do używania na naszym terenie swojego języka. Czy aby wszyscy?

Wiele teraz powstaje nowych przedsiębiorstw, sklepów, punktów usługowych. Wielu ich właścicieli to Polacy. Ale w wielu wypadkach wstydzą się oni przyznać do tego. Nie znajdziesz na szyldach ich zakładów ani słowa po polsku. Często nie chcą zdradzić ani swego nazwiska i wymyślają dla swej firmy jakieś pokracczne nazwy. Wiem, są też chlubne wyjątki, ale raczej tylko wyjątki. Na przykład z daleka rzuca się w oczy wielki napis na gospodzie w Gródku *Harcowianka*. Oby tylko nie spotkał tego napisu ten sam los, co szyld w Bystrzycy, również na gospodzie. Bardzo się komuś nie podobał napis NA SZKUBNI. Ale właściciele uparli się i ponieśli niemałe koszty jego renowacji. Tak samo zresztą postąpili i właściciele sklepu rzeźniczego w sąsiedztwie owej gospody i nowy szyld zrobili jeszcze bardziej rzucający się w oczy. I jakoś polski szyld nie odebrał im klienteli, czego się podobno obawiają właściciele innych punktów usługowych. Prawdopodobnie tracą na

³ STRZYBNY, Antoni: Mamy swój własny język. In: *GL*, 1993, nr 11, s. 2.

tym w tym wypadku, bo niejedyn z nas, mając do wyboru (ja na pewno!), zdecydowałby się na poparcie swego. Zgodnie z wyświechtanym starym hasłem – „Swój do swego”.

Inny rozdział to kwestia naszych imion i nazwisk. Ubolewania godnym jest fakt, że wielu Polaków uważa, że podpisując się na jakimś dokumencie, muszą podpisać się po czesku, bo tak jest „urzędowo”, bo tak napisano im w dowodzie osobistym. Prawo do własnego imienia, nazwiska jest jednym z podstawowych praw obywatelskich. Więc po co te wszystkie Tadeáše, Jindřichy itp.? Po co panie dodają do nazwiska końcówkę -ová? Że tak postanawia czeska pisownia? Czy przypadkiem nie jest jedyną pisownią na świecie, która zniekształca obce nazwiska? Cały świat wie, kim była np. Edith Piaf i cały świat tak pisze i wymawia jej nazwisko. Ale u nas to musi być Piafová. To miałyby być niedopuszczalne. Przecież nikt nie nazwie czeskiego kompozytora Fryderykiem Smetaną.

O braku poszanowania dla obcych nazwisk może świadczyć i taki przykład: Przy drukowaniu w swoim czasie „książeczek kuponowych” zakładano, że będą tam wpisywane również nazwiska obce i dlatego podano wzory liter obcych alfabetów. A więc do poprawnego zapisania nazwisk niemieckich, francuskich, szwedzkich i bodajże tureckich – ale nie przewidziano albo starano się nie przewidzieć, że obywatelami tego kraju są też Polacy. Podobno w wypadku polskich nazwisk to obojętne, czy ktoś nazywa się Lata czy Łata, Bak czy Bąk, Węglorz czy Węglorz...

Dlatego nie ulegajmy żadnym manipulacjom czy naciskom i twardo stójmy przy swoim, wszak jesteście u siebie i dawajmy temu wyraz, tak jak na przykład jeden z właścicieli domków w Bystrzycy, który na furtce umieścił polski napis – UWAGA PIES! Co wcale nie określa narodowości tego psa, jak może sądzą ci, którzy – aczkolwiek rozmawiają po polsku – do własnego psa zwracają się po czesku...

Pozostać w zgodzie z własnym sumieniem⁴

Henryk Kiedroń

W ostatnich kilkunastu miesiącach byliśmy świadkami i uczestnikami co najmniej kilku wydarzeń powodujących w szeregach naszej grupy narodowej wyraźne ożywienie. Obecnie stoimy na progu kolejnego z takich wydarzeń, którym będzie Kongres Polaków. Okazuje się jednak, że emocje, a przynajmniej poruszenie w płaszczyźnie narodowej może wywołać i operacja o charakterze administracyjnym, jaką jest spis ludności.

⁴ KIEDROŃ, Henryk: Pozostać w zgodzie z własnym sumieniem. In: *GL*, 1991, nr 25, s. 1–2.

Logicznie powstaje pytanie, czy taka reakcja jest uzasadniona. Z pewnością częściowe usprawiedliwienie mniejszościowego wyczulenia na wyniki spisu ludności możemy znaleźć w odleglejszej przeszłości, kiedy stosowano różne sposoby manipulacji w celu zaniżenia liczby Polaków mieszkających na lewym brzegu Olzy. W mniej odległej przeszłości chyba te metody nie były już potrzebne (choć nigdy nie wiadomo, jakie niespodzianki może przynieść dokładne poznanie okresu „wesolej twórczości”). Zresztą zjawiska obiektywne (spadek członków polskich organizacji, uczniów w szkołach, abonamentów prasy itp.) raczej wskazywałyby na to, że dane ostatnich spisów ludności oddawały faktycznie tempo wynaradawiania (przy pominięciu jego przyczyn). Uzasadnienia narastającego poruszenia narodowego przed kolejnym spisem ludności należy zatem raczej doszukiwać się w obawie o przyszłość naszego bytu jako grupy narodowej i taka postawa jest całkiem zrozumiała.

Poważne wątpliwości może jednak budzić przekonanie, że „agitacja” prowadzona kilka dni przed spisem może mieć wpływ na jego wyniki. Przede wszystkim sam fakt agitowania i odwoływania się do jakichś wyższych racji w celu spowodowania zmiany decyzji przy wpisywaniu danych do arkusza spisowego jest niezgodny z etyką i założeniami instytucji spisu ludności. Podobnie ubolewanie nad tym, że wśród komisarzy spisowych jest za mało lub w ogóle nie ma Polaków, jest zupełnie niecelowe, ponieważ nie mają oni prawa w jakikolwiek sposób wpływać na uczestników spisu. Z powyższych i im podobnych poczynań raczej wynikałoby, że bardziej zależy nam na uzyskaniu wyników z naszego punktu widzenia pozytywnych niż prawdziwych. A nie ulega chyba wątpliwości, że dla potrzeb dalszego organizowania życia naszej społeczności cenniejsze będą dane prawdziwe.

Inną kwestią są obawy o to, aby wynik spisu nie został zniekształcony przez tzw. drugą stronę. Trudno określić, na ile są one uzasadnione w dzisiejszych czasach, natomiast niewątpliwie umocniła ją informacja, że do rubryki „narodowość” można wpisywać także „morawska” i „śląska”. W tym miejscu rzeczywiście powinna zabrzmieć przestroga przed ulegnięciem ponętnej propozycji „bezkonfliktowego” samookreślenia narodowego.

W uzasadnioną wątpliwość z góry można podać obiektywność danych w rubryce „język ojczysty”, kiedy nasza gwara śląska może być klasyfikowana dowolnie, zgodnie z przekonaniem osoby wypełniającej kwestionariusz spisowy. Po co zatem w ogóle wymyślono taką rubrykę?

Coraz bardziej sobie obcy...

*Nie tylko fizyczny charakter czesko-słowackiej granicy*⁵

Wiesław Przeczek

„...bo przede wszystkim jest pan obcym obywatelem” - zakończył swoją pouczającą wypowiedź słowacki policjant, zwracając mi na poczcie w Czadcy mój dowód osobisty i legitymację prasową.

Jest czwartek, za kwadrans dziewiąta rano, pierwszy dzień wymiany czechosłowackich banknotów na już samodzielne – czeskie i słowackie. Przed kilkunastu minutami wiedziony dziennikarską ciekawością, jak przebiega wymiana pieniędzy w sąsiedniej Słowacji, dotarłem do Czadcy porannym pociągiem z Czeskiego Cieszyna. Przed budynkiem poczty w centrum miasta stoi kilkunastoosobowa kolejka przeważnie starszych wiekiem obywateli. Na zewnątrz i w środku budynku zielenieją mundury chyba trzech policjantów i tyle samo wspierających ich młodych żołnierzy. W środku przy okienkach stoi po kilku klientów. Wymiana przebiega sprawnie – w Rebpulice Słowackiej podlegają jej również banknoty pięćdziesięcio- i dwudziestokoronowe.

W momencie, kiedy sięgam do torby po aparat fotograficzny, by pstryknąć zdjęcie, łapie mnie za rękaw jakaś urzędniczka, jak się później okazuje kierowniczką poczty, i histerycznym głosem wszczyna alarm „On tutaj fotografuje!, Policja!”. Dostaje się również starszemu wojennemu urzędnikowi regulującemu ruch przy wejściu i kontrolującemu dowody osobiste klientów, który mnie (ani ja jego) przy wschodzeniu nie zauważył. Policjanci w czechosłowackich mundurach, lecz z tarczami z napisem „Policia” i godłem państwowym Słowacji na rękawie (na czapce również), legitymują mnie. Na nic się zdają może tłumaczenia, że jestem dziennikarzem i mam prawo dostępu do informacji. Nic mi też nie wiadomo o zakazie fotografowania na pocztach. Jeden z nich zabiera moje dokumenty i znika na kilkanaście minut rozkazując pozostałym mnie pilnować. Po chwili wraca i oddając mi dokumenty informuje, że o mojej osobie wiedzą we wszystkich placówkach w okolicy.

Jeszcze niedawno, przed paru zaledwie tygodniami, obywatel tego samego państwa, prawie że sąsiad – dziś obcokrajowiec. Podział Czechosłowacji wyraźnie wpłynął na podniesienie poziomu adrenaliny w krwi Słowaków, są nerwowi, niezupełnie pewni pomyślności „samodzielnego” jutra. Jest to widoczne również w gazetach. Niezależny tygodnik „Kysuce” pisze o protestach drobnych przedsiębiorców przeciwko ustawie

⁵ PRZECZEK, Wiesław: Coraz bardziej sobie obcy... In: *GL*, 1993, nr 15, s. 1–2.

o ubezpieczeniach zdrowotnych i socjalnych, która większość z nich zmusza do zamknięcia interesu. O ile rozmowy z Radą Narodową Republiki Słowackiej nie dadzą rezultatu, są gotowi posunąć się nawet do blokady granic. Oliwy do ognia dolewa premier Mečiar, obarczając winą za drożyznę właśnie drobnych przedsiębiorców.

Pomimo że przekraczając w pociągu granicę czesko-słowacką nie natrafiłem na żadną kontrolę celną, t w Mostach k. Jabłonkowa celnicy są jednak obecni na drogowym przejściu granicznym i mają pełne ręce roboty. Prowizoryczny punkt kontroli celnej przy głównej szosie zbudowany z kilku unifikowanych baraków jest już w pełni zagospodarowany. Jest prąd elektryczny, telefon, woda... Celnicy dokonują normalnych odpraw celnych. Pomocą służą im komputery. Z nich też uzyskuje informacje, że tego dnia od północy do pierwszej po południu odprawiano na wjeździe 83, a na wyjeździe 99 ciężarówek. W tym czasie zarejestrowano również 442 wycieczkowe autokary, od których pobierane są przy wjeździe opłaty w zależności od planowanej trasy. Oprócz tego przejeżdża tedy w ciągu doby około półtora tysiąca samochodów osobowych.

Celnicy, w tych dniach wspomagani przez kolegów ze straży celnej (niektórzy zostali nawet oddelegowani z Pragi) oraz policję graniczną, przeprowadzają zaostrzone kontrole. Sprawdzane są dokumenty wszystkich pasażerów samochodów, bagażniki. Trzeba podziwiać celników za ich zręczność a zarazem spokój w kierowaniu kolumnami nadciągających z obu stron potężnych „tirów” i samochodów osobowych. Bez krótkofalówek nie daliby rady. Droga jest wąska a w dodatku pracuje tutaj ciężki sprzęt drogowy, budując na jej poboczu prowizoryczne parkingi dla odpraw celnych, przede wszystkim dużych ciężarówek.

„Sam się dziwię, że jeszcze dzisiaj nie doszło do zablokowania drogi!” - zwierza się Stanisław Szebesta, kierownik mosteckiego punktu kontroli celnej, i dodaje - „Przed kilkoma dniami zrobił się olbrzymi korek, w którym ugrzęzły m.in. autobusy z powracającymi z pracy w kopalniach i hutach słowackimi robotnikami. Nie chciałbym być na ich miejscu...” bez trudu otrzymuje wyczerpujące informacje na każde moje pytanie,

a jak się okazuje, nie jestem tutaj ani pierwszym, ani ostatnim dziennikarzem w tym dniu. Fotografować mogę do woli. W najbliższej przyszłości (aktualnie trwają prace projektowe) ma powstać przejście graniczne z prawdziwego zdarzenia, z odpowiednimi stanowiskami odpraw. Tymczasem trzeba się będzie zadowolić prowizorycznymi parkingami i elektronicznie sterowanymi szlabanami, których montaż zapowiedziano na najbliższe dni.

Artykuły Zwrotu

*Milczenie ZŁOTEM?*⁶

M. Radłowska-Obrusnik

Po rewolucji aksamitnej wiele mówiono o likwidacji białych plam w historii wzajemnych stosunków polsko-czesko-słowackich. Lata mijają. Odbyło się kilka fachowych konferencji, planuje się opracowanie zarysu naszej historii nadzorowane przez Instytut Historii PAN. Nie jesteśmy mniejszością wpływową ani najliczniejszą, ani majątną. Jedyne co mamy - tak zazwyczaj składa się u Polaków - to nasz honor i przywiązanie do tradycji. W imię tych wartości oraz w obliczu generacji tych co przed nami i po nas, powinniśmy wszelkimi siłami dążyć do wyjaśniania zagadek historii. Choć przyjezdni wypominają nam, że na jej punkcie mamy lekkiego hopla, w miarę poznawania nas stwierdzają, że to, co brali za obsesję może być niezbędną zapobiegliwością.

W "Lidových Novinach" z 27 lipca w kolejnym wydaniu "Wiadomości środkowoeuropejskich" został wydrukowany artykuł pióra Tadeusza Kisielewskiego, polskiego historyka, pt. "Czesi w oczach Polaków". Między innymi autor pisze /tłumaczenie z czeskiego/: "Przyszło Monachium rraga zgłosiła inicjatywę zwrócenia Polsce Zaolzia na podstawie kryterium etnicznego, życzyłaby sobie przy tym, by wszystko przebiegało bez pośpiechu i w taki sposób, który by potwierdził akt dobrej woli wypływający z suwerenny decyzji rządu czechosłowackiego i w żadnym wypadku nie nastąpił pod naciskiem Warszawy. Polska zaś nie mogła czekać" - pisze Kisielewski - "Groziło bowiem zajęcie strategicznego węzła kolejowego w Boguminie przez Niemców. Wieść o tej propozycji mogła też donieść się do Berlina, co z punktu widzenia Warszawy było nie do przyjęcia".

Dalej autor kontynuuje: "Oczywiście przyjscia Polski na to terytorium domagali się sami Polacy na Zaolziu. W takiej sytuacji wypłynęło ultimatum i wkroczenie wojsk gen. Bortnowskiego na Zaolzie, co było demonstracją siły nie tylko wobec Czechów, ale w większej mierze wobec Niemców. W tej dla Czechów tragiczny chwili nasilała się wśród nich fala pogardy dla Polaków i Polski".

Nie wiem, kto w tamtym czasie sterował czeską propagandą. Jasne jest, że podtrzymywana przez nieprzychylnie Polakom hitlerowskie władze okupacyjne, po wojnie

⁶ RADŁOWSKA-OBUSNIK, M.: Milczenie złotem? In: *Zwrot*, 1994, nr 9, s. 48-49.

akcentowana przez narodowych socjalistów, nie wyjaśniona przez kolejne dziesięciolecia, potem przykryta flagami internacjonalizmu w imię promienistej przyszłości - przeleżała się do dzisiaj.

Gdyby Beck poczekał, i w uzgodnieniu z Pragą przesłał to ultimatum to również wzrastała by fala pogardy wśród Czechów? Czy Zaolziacy życiem, majątkiem, poniżeniem nie dość zapłacili za NIE SWOJE decyzje? Doprowadzając w roku 1918 do kompromisowego porozumienia granicznego, pokazali jak mieszkańcy wielonarodowego Śląska Cieszyńskiego umieją się dogadać. Potem zaczęły się ingerencje sił "nie stela". Raz Praga, raz Warszawa, Genewa, Moskwa itd.

Zaolziacy ciężko pracowali, z trudem dorabiali się i często przez swoje oddanie polskości tracili prawie wszystko. Dyskusje toczone w wolnej, demokratycznej Republice Czeskiej o zwrocie majątków gminom żydowskim, formach odszkodowań szlachcie, Niemcom sudeckim stale pojawiają się na łamach prasy, krążą wśród opinii publicznej.

Temat zwrotu polskich majątków jest ignorowany z uzasadnieniem: "że chodzi o osoby prawne, którym majątek był skonfiskowany przed lutym 1948. Sposób przejęcia majątku polskich organizacji w tym przypadku nie jest decydującym kryterium" - jak napisał w połowie lipca tego roku w odpowiedzi na pytanie o zwrot polskich majątków inż. Vladimír Války - dyrektor generalnej inspekcji Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Czeskiej. Dalej pan dyrektor rozwijał myśl - "Cały majątek polskich zrzeszeń był w latach II wojny światowej skonfiskowany przez niemieckie władze okupacyjne i oddany niemieckim organizacjom. Po wojnie ekspozytura Morawskośląskiego Krajowego Komitetu Narodowego w Ostrawie nie przyjęła do wiadomości oznajmienia polskich zrzeszeń i spółdzielni o zamiarze wznowienia działalności. Uczyniła tak na podstawie dekretu prezydenta republiki z dnia 25.9.1945. Z tego powodu był pierwotnie polski majątek oddany pod zarząd administracji państwowej". - I dalej następuje uzasadnienie: "Niepozwolenie na wznowienie czynności przez organizacje polskiej mniejszości po roku 1945 miało swoje korzenie w wydarzeniach roku 1938-1939. W tym czasie obywatele Czechosłowacji polskiej narodowości zachowali się wobec Czechosłowacji nielojalnie" - kończy myśl Vladimír Války.

Dokładność poinformowania pana dyrektora wzbudza moje uznanie. Do jego niewątpliwie interesującego wywodu dodałabym jedynie to, że wśród tych, którzy starali się o wznowienie działalności polskich organizacji "nielojalnych" już nie było, gdyż nie dostali po wojnie słynnego świadectwa lojalności wydawanego w każdej gminie. Bez świadectwa nie mieli pracy - a więc emigrowali gdzie oczy poniosą...

Jedynie stosując odrzuconą prawnie doktrynę zbiorowej odpowiedzialności można zakwestionować prawo pozostałych - którym czeskie urzędy POTWIERDZIŁY ICH SPOLEGLIWOŚĆ - do spadku po ich przodkach.

Można dyskutować o zakresie zwrotu mienia, ale nie można występować przeciwko decyzjom WŁASNEJ administracji. Musimy o tym przypominać, bowiem milczenie nie zawsze jest złotem. Czasami jest odbierane jako rezygnacja.

METAMORFOZY PANA ANDRZEJA⁷

Otylia Toboła

Korespondent „Gazety Wyborczej“ w Pradze Andrzej Jagodziński należał do tych dziennikarzy, którzy nie pochwalali ubiegłorocznej wizyty delegacji „Wspólnoty“ z posłem Stanisławem Gawlikiem na czele w Warszawie. Na łamach poczytnego pisma ostro przeciwstawił się opinii, jakoby Polacy w Czecho-Słowacji byli dyskryminowani. Argumenty przedstawione przez liderów Wspólnoty, a także obecnych w delegacji przedstawicieli Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, nie bardzo przemawiały do jego wyobraźni. W końcu wyjazd Gawlika do Warszawy ocenił jako nacjonalistyczny wyskok sprzeczny z interesami grupy Polaków w Czecho-Słowacji. Tamta historia i wywołana wówczas w prasie polskiej kampania przeciwko Wspólnocie i PZKO przypominała mi się podczas lektury artykułu zamieszczonego w czeskich dziennikach „Rude právo“, „Lidové noviny“. Artykuł w „Rudym prawie“ zatytułowano: **„Polacy czują się w Czeskiej Republice dyskryminowani“**. Nie chodzi tu jednak o kolejne skargi Zaolziaków, ale tym razem o informacje przedrukowane z „Gazety Wyborczej“.

Od początku roku - pisze gazeta - coraz więcej Polaków mieszkających w Czechach prosi o zmianę obywatelstwa na czeskie. Przyczyną tego jest zmiana czeskich przepisów o ubezpieczeniach zdrowotnych, która odbiera większości cudzoziemców prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej. (...) Zgodnie z nową ustawą o ubezpieczeniach zdrowotnych, w Czechach powstały kasy chorych. (...) Ubezpieczyć się mogą tylko cudzoziemcy pracujący dla firm czeskich albo prowadzący legalne interesy w tej republice. Inni muszą płacić za każdą wizytę u lekarza — np. operacja wyrostka robaczkowego kosztuje ok. 1 000 dolarów. Od początku stycznia obywatele polscy, podobnie jak inni

⁷ TOBOŁA, Otylia: Metamorfozy pana Andrzeja. In: *Zwrot*, 1993, nr 3, s. 75.

cudzoziemcy, odsyłani są z gabinetów lekarskich, bo nie wiadomo, kto ma zapłacić za usługę.

W artykule pisze się dalej: W Czechach przebywa legalnie kilkadziesiąt tysięcy Polaków, ok. 15 tys. obywateli polskich mieszka tu na stałe. Polsko-czechosłowacka umowa o wzajemnej opiece lekarskiej z 1950 roku regulująca te sprawy faktycznie nie funkcjonuje. Czeskie ministerstwo spraw zagranicznych przyznaje jednak, że Polakom należy się bezpłatne leczenie. Praski korespondent — pisze Rudé právo — przypomina, że częstokroć oponował skargom radykalnych przedstawicieli polskiej mniejszości w Czechosłowacji, kiedy skarżyli się na dyskryminację Polaków. Obecnie Andrzej Jagodziński twierdzi, iż: *W przypadku ubezpieczeniowego skandalu trudno użyć innego słowa. Chcę uderzyć, że nie jest to działanie celowe, lecz nieudolność jest równie szkodliwa jak zła wola. Zwłaszcza, że nie jest to jedyny powód zaniepokojenia polskiej społeczności w Czechach.*

Przyjęta półtora roku temu Karta Praw i Swobód Obywatelskich do dziś nie doczekała się przepisów wykonawczych, regulujących prawa mniejszości. Powołana przez poprzedniego premiera Czech Petra Pitharta Komisja ds. Mniejszości po czerwcowych wyborach parlamentarnych nie zebrała się ani razu.

Nie wiadomo, co o tym myśleć. Nie wiadomo też, czy przysporzy to panu Andrzejowi z Gazety Wyborczej popularności na Zaolziu. Bo kiedy pokrzywdzeni czuli się Zaolziacy — milczał, ale kiedy Polacy z Polski — a więc i on — to już coś zupełnie innego.

„Po naszymu”⁸

Oswald Guziur

Czytało się nieraz o tym, że tu i tam, na obrzeżach państw a polskiego m.in. za jego południowo-zachodnią granicą żyją ludzie, którzy jeszcze nie zapomnieli języka przodków, mimo wielowiekowego oderwania od Macierzy. Ale co innego czytać o tym jakąś opublikowaną informację, a zupełnie co innego spotkać się z żywymi ludźmi, którzy są tego dowodem.

Pierwszym tego rodzaju przeżyciem było dla mnie spotkanie na początku lat trzydziestych z ludźmi żyjącymi na Spiszu słowackim. Opisałem je we wspomnieniu pt.

⁸ GUZIUR, Oswald: „Po naszymu”. In: *Zwrot*, 1993 nr 9, s. 26–27.

„Prymicja w Starej Wsi Spiskiej”, zamieszczonym w Zwrocie nr 7/92. Czułem się wśród tamtych ludzi tak, jak we współczesnym Jabłonkowie, czy w Istebnej, ten sam język.

Potem była wojna, mijały lata i oto znowu miałem sposobność zetknąć się z reliktem polskiego języka, który tym razem dał o sobie znać na innym terenie. Było to w okolicach Karłowych Warów. Spędzenie wakacji w tym uzdrowisku ułatwił mi fakt, że mój szwagier dr Józef Mazurek (późniejszy lekarz w Bystrzycy, znany powojenny kronikarz martyrologii ofiar hitleryzmu Zaolzia) wybudował w latach trzydziestych w K. W. obszerną willę pod swojską nazwą „Beskid”, w której pozwolono mu w czasach komunistycznych zachować jeden „pokoik” na strychu dla rodziny (później obiekt został przejęty przez hutę w Trzyńcu dla celów leczniczo-wypoczynkowych załogi).

Zawsze lubiłem błąkać się po górach i zdobywszy jedną, bywałem ciekaw, co jest za tą następną. Zazwyczaj okazywało się, że znowu góra. Okolica K. W. jest urodzajna pod tym względem, a więc było po czym chodzić. Pewnego razu, po pokonaniu kilku wzniesień, nagle rozwarła się przede mną dolina, na której dnie błyszczała w słońcu duża tafla wody. Naokoło była pustka, nie było kogo zapytać o drogę powrotną i zorientować się, gdzie się znajduję. Tylko u wrót tamy — bo była to zaporą — stał budynek wartownika, pilnującego przepustu wody. W otwartym oknie stał on, patrząc, jak zbliża się samotny, zbłąkany człowiek. Rozpoczęła się rozmowa na odległość, z której od razu zaczęło wynikać, że nie jestem stuprocentowym Czechem, bo szwargotałem po ostrawsku a raczej bardziej po cieszyńsku. Padło z jego strony pytanie skąd jestem. Na moją odpowiedź, twarz jego się ożywiła, znikła z okna i za chwilę, ten może czterdziestoletni mężczyzna, stanął obok mnie i zaczęła się „rodaków” rozmowa. Okazało się, że pochodzi ze Śląska Opawskiego, spod Hluczyna. Ja mówiłem do niego narzeczem polsko-czeskim, a on swoim. Ten język niewiele się różnił od mojego, co stwierdziliśmy z obustronną satysfakcją. Na moje zdziwienie wyjaśnił, że tak jak on, mówi się u niego w domu, u jego sąsiadów, w jego wiosce i innych okolicznych wsiach. Na zewnątrz, publicznie, mówi się inaczej, ale wewnątrz, w rodzinach i z najbliższymi sąsiadami mówi się tak, jak on w tej chwili rozmawia ze mną.

Spotkanie z tym człowiekiem zrobiło na mnie głębokie wrażenie. Bo oto spotkałem się z czymś, co mimo kilkunastowiecznego oderwania się od pnia, nadal żyło swym własnym życiem.

Dopiero później, po wielu, chyba trzydziestu latach, dane mi było w ubiegłym roku spotkać się po raz pierwszy z ziemią, z której ów człowiek pochodził: Hluczyńskiem. W miejscowości Ludgerzowice odbywała się uroczystość rodzinna: dostojny jubileusz

małżeństwa, korzeniami tkwiącego w tej ziemi, połączony z ugoszczeniem sąsiadów z okazji ślubu ich syna, który się odbył niedawno w RFN. W obszernej sali miejscowego domu kultury spotkała się ponad setka gości, reprezentująca rodzinę a przede wszystkim tę wioskę. Wśród uczty i toastów zabrzmiała najpierw pieśń w języku czeskim: „Hodně štěstí, zdraví”, po czym ośmioosobowa grupa zaolziańskokatowicka odśpiewała gromko „Sto lat”. Zachęcona tą odwagą miejscowa grupa, preferująca język niemiecki, zaśpiewała po swojemu swój toast.

A potem przy winie i piwie okazało się, że z każdym można się było nie tylko porozumieć po polsku, ale i słyszeć polskie zdanie, z zupełnie poprawną wymową. Ktoś np. rozmawia ze mną po czesku i tłumaczy mi (cytuję dosłownie): „A po naszymu mówi się to tak: Z jedną babą chłop długo nie wydzierży”. Autentyczne! Jakiś niemieckojęzyczny tybulec, rozmawiający ze mną po czesku, od czasu do czasu wyjaśnia, że „po naszymu” mówi się to tak...i tu cytuje całe zwroty po polsku, twierdząc, że to jest „po naszymu”. Nie po czesku, nie po niemiecku, ale po naszymu. Tyle wieków minęło i coś, co zostało zakodowane wówczas w umysłach, tkwi w nich dotychczas. To coś uważa się za nasze, swoje.

A jak jest u nas na Zaolziu? Niedawno, bo jesienią ubiegłego roku, jechałem pociągiem z Suchej Górnej do Czeskiego Cieszyna. W Olbrachcicach dosiadła się jakaś kobieta w średnim wieku i po jakimś czasie zaczęła się rozmowa. Ona po czesku, ja po polsku. Gdy zbliżyliśmy się do Olzy, w owym czasie prawie całkowicie wyschniętej, zapytała: „A u vas v Polsku, je taky takova posucha?” Na to odpowiadam: „Dlaczego pani mówi „u vas v Polsku?” Dyć jo jest tu stela, ze Suchej”.

Te moje słowa jakby ją odmieniły. Zrzuciła maskę z twarzy, przyszykowaną do podróży i występowania wobec obcego otoczenia i nagle zaczęła ze mną rozmawiać czystą gwarą polsko-cieszyńską taką, jakiej zapewne używa na codzień w domu.

Dlaczego tak się dzieje? Oto jest pytanie - jakby powiedział Hamlet. Odpowiedzią na nie mogą być tylko dzieje stosunków czesko-polskich na tym terenie, zarówno z okresu międzywojennego, a jeszcze bardziej powojennego. Zdobyte doświadczenia nakazywały, że lepiej się nie wyróżniać z otoczenia. Kiedy dziś spotykam takich lub podobnych ludzi na tym terenie, przypominają mi oni jakichś „azylantów”, którzy nielegalnie przekroczyli granicę i teraz robią wszystko, aby nie zwracać uwagi swoją odrębnością nie zdemaskować się, aby nie narazić się na konsekwencje.

A przecież ci ludzie nigdy żadnej granicy nie przekraczali. To raczej granice przeskakiwały nad ich głowami, zazwyczaj wbrew ich woli. Dlaczego dziś pochyłają

głowy i rezygnują z własnej tożsamości, własnej tradycji i bogatej przeszłości, z której mogliby być dumni?

*Nasze sprawy*⁹

Władysław Młynek

Nowy rok rozpoczynamy w nieoczekiwanych układach politycznych. Jeszcze przed rokiem nikt nie przypuszczał, że od 1 stycznia 1993 będziemy obywatelami tylko Czeskiej Republiki, tym samym staniemy się najliczniejszą zorganizowaną mniejszością narodową — raczej narodowością. Długo zapowiadane i dyskutowane stało się faktem. Staliśmy się jakoby najstarszym ambasadorem innych narodowości w stosunku do władz państwa. Słowacy w Czechach, którzy w wielu wypadkach utracili swoją odrębność narodową, nie są zorganizowani, nie posiadają rozwiniętych struktur szkolnych, zespołów. Do ich świadomości chyba jeszcze nie dotarł fakt, że są najliczniejszą narodowością. W samej Karwinie żyje ponad 8 000 Słowaków, a ich dzieci mają do dyspozycji jedną szkołę. Stoją obecnie przed wyborem obywatelstwa i narodowości. Ten problem mamy my, Polacy, od przeszło siedemdziesięciu lat rozwiązany. Jeżeli miałyby dojść do powołania do życia organizacji Słowaków, będziemy jej chętnie służyli radą, pomocą i doświadczeniami. Należy wyrazić nadzieję, że władze Czeskiej Republiki będą wobec nas ustosunkowane przychylnie, chociaż znana jest dewiza prezydenta Masaryka — ile sobie wywalczycie, tyle będziecie mieli.

Ubiegły rok jubileuszowy, zakończony walnymi zebraniem w MK PZKO, był rokiem wielu ciekawych i pięknych imprez kulturalno-oświatowych, zebrania jubileuszowych, koncertów, występów. Wszyscy ich organizatorzy, wykonawcy programów i uczestnicy zasługują na najwyższe uznanie i podziękowanie. To samo należy się szkołom i przedszkolom, wychowawcom za przygotowanie programów kulturalnych na imprezy pezetkaowskie. We wzajemnej współpracy pomiędzy MK PZKO, Kołami Macierzy, dyrektorami szkół i przedszkoli nie widzę luk ani tarć, co nam może wyjść tylko na dobre. Prawie wszystkie Koła, na których terenie działa szkoła czy przedszkole, mają w swych programach współpracę i niesienie im pomocy. A tej właśnie najwięcej potrzebują.

⁹ MŁYNEK, Władysław: *Nasze sprawy*. In: *Zwrot* 1993, nr 1, s. 2.

Nowy rok, w którym 20 marca odbędzie się zjazd naszego Związku. Dokona on wyboru nowych władz PZKO, przeprowadzi analizę działań od roku 1990 i określi plan działania na przyszłość. Obok tego jednak w MK PZKO realizowane będą wytyczone programy działań na dalsze dwa lata. Należy wyrazić nadzieję, że przyjęte programy znajdą praktyczny wyraz w konkretnych czynach. Nasza kultura jest prawdziwą kulturą i sztuką, wyrosłą z tej ziemi i opartą na tradycjach, zaangażowaną w walce o utrzymanie i utwierdzenie własnej tożsamości. W niej zawarta jest nasza odpowiedzialność względem rodziny, szkoły i całego społeczeństwa. Nie powinna ona być ani góralska, dolańska, ale polska. To ona powinna nas jednoczyć w naszych działaniach, bo samo tylko słowo może nas jednoczyć tylko na krótko, a co gorsze, może nas również rozbić.

W realizacji tych działań pragnę Wam wszystkim życzyć spokoju, rozwagi i mądrości, sil i zdrowia, zadowolenia z wszelkich poczynąń, udanych imprez. Ponieważ w chwili pokazania się tego numeru nie będę już pełnił funkcji p. o. redaktora naczelnego, chciałbym wszystkich Szanownych Czytelników przeprosić za ewentualne niedociągnięcia w numerach Zwrotu redagowanych przeze mnie, podziękować korespondentom oraz współpracownikom Redakcji za cierpliwość i stworzenie mi dogodnych warunków do wykonywania dwu odpowiedzialnych funkcji.